

ŁÓPTA - dzień drugi

Drugi dzień uraczył nas aż 13 spektaklami. Po raz kolejny podkreślamy subiektywność opinii tutaj wyrażonych i gorąco zachęcamy do dyskusji. Biegamy po korytarzach z tymi śmiesznymi niebieskimi plakietkami. Dla Was zawsze znajdziemy czas. Albo po prostu szukajcie nas w 315.

„Horrrrorek! czyli Strachy na lachy”

Dzisiejszy dzień rozpoczął się od spektaklu teatru „Trzynastka” ze Zduńskiej Woli. Mowa oczywiście o „Kabarecie na jednej nodze”. Istotną rolę w przedstawieniu sprawowała dwójka konferansjerów, prowadzących (w tych rolach Kacper Gabara i Kacper Kabus), którzy wprowadzali widza w sferę wydarzeń, jakie będą miały miejsce na scenie. Ich obecność była kluczowa dla odpowiedniego podążania za fabularnymi zdarzeniami.

Po zapowiedzi widz przenosił się do obozu harcerskiego gdzie młodzi aktorzy obozowali w namiotach i rozłożonym stosie drewna symbolizującym ognisko. Sielankowa sytuację przerywa alarm, który w widzu wywołuje dozę niepokoju i ciekawości. Zastanawiając się co będzie działo się dalej rozpoczęła się kolejna scena. W jednym momencie znajdujemy się w przychodni gdzie z wizytą do doktora przychodzi duch z nadwagą, szukając rozwiązania swojej przypadłości. To była pierwsza tak wyraźna zmiana ciągu wydarzeń, która pomimo zaskoczenia, które wywołała, doprowadziła do niezrozumienia. Ten zabieg powtarzany w kolejnych scenach jak chociażby ze strzygą, pomimo że wykonywany konsekwentnie sprawił kłopot dla postrzegania tego przedstawienia jako całości. Jednak zawsze z ratunkiem podążali konferansjerzy.

Na wielkie uznanie zasługuje przedstawienie znanych przez najmłodszych, straszydeł tj. duch czy strzyga lub czarownica w sposób bardzo dowcipny, dzięki czemu mogłem spojrzeć na postaci, których tak bardzo bałem się w dzieciństwie oraz to, że mierzą się oni z wierszowanym tekstem Wandy Chotomskiej.

Czasem miałem wrażenie że przy wielu scenach i działaniach brakuje im nieco pewności siebie i wiary w to co robią, ale myślę że jest to tylko kwestią czasu, bo nie zapominajmy że są to jeszcze młodzi twórcy.

Kamil Bończyk

Ocena recenzenta: 3,0/5

Ocena widzów: 3,1/5

„Od bolączki do gorączki”

Teatr „Mała Trzynastka” z Ośrodka Kultury w Wiśniowej Górze zaprezentował spektakl „Królewna Śmieszka”. Królewna Śmieszka, w którą wcieliła się Dominika Cieniak, to postać, która musi pamiętać, żeby myć owoce. W przeciwnym wypadku może skończyć się to tragicznie. Przez chwilę będzie ją bolał brzuch, a później spotka księcia z bajki i będą żyli razem długo i szczęśliwie.

Pomimo, że spektakl trwał niecałe 10 minut, autorom udało się przedstawić fabułę w klarowny sposób. Warto zaznaczyć, że aktorami były dzieci z klas I-III szkoły podstawowej. Zawsze podziwiam odwagę i zaangażowanie tak młodych osób. Przedstawienie było zabawne, urocze i poprawnie zagrane. Ogromnym plusem była scenografia oraz kostiumy, które zostały specjalnie przygotowane dla bohaterów. Zauważyłem, że na tegorocznym przeglądzie wiele zespołów kładzie duży nacisk na ten aspekt.

Zazwyczaj podobają mi się spektakle, w których grają dzieci, ponieważ widzę w tym zabawę, humor i chęć do tworzenia. Tak było i tym razem. „Oklaski dla aktorów!”

Jakub Lisiak

Ocena recenzenta: 4/5

Ocena widzów: 4,3/5

„Nazywam się Ryś. Jakub Ryś”

Rzgowskie Studio Teatralne, ze spektaklem „Porwanie w zaczarowanym lesie”, to kolejny teatr dziecięco-młodzieżowy, choć tym razem z pomysłem oryginalnym. Uczniowie Leśnej Akademii wyruszają na poszukiwanie porwanego kolegi - Dzięcioła. Pomaga im w tym detektyw (Jakub Waprzko) i jego Asystent (Remigiusz Żajkowski) oraz Zielarka (Dobromiła Krajweska). Za sprawą czarów uczniowie przenoszą się do zaczarowanej krainy, gdzie odnajdują swojego kolegę. Jednak jego uwolnienie nie jest takie proste. Muszą oni bowiem stanąć przed trzema arcytrudnymi zagadkami.

Jak już wspomniałem we wcześniejszych recenzjach, dotyczących tego typu spektakli, jestem wielkim fanem teatru, w którym grają młodzi aktorzy. W „Porwaniu...” widać ogrom pracy, nie tylko w kwestiach scenicznych, ale również w zbudowaniu świata. Świetnie sprawdziła się tutaj scenografia przygotowana przez Irminę Kuzik. Niekiedy zdarza się, że na scenie znajdują się rzeczy, z których aktorzy w ogóle nie korzystają lub, co gorsza, nawet nie zwracają na nie uwagi. Tutaj wszystko było na swoim miejscu i młodzi twórcy świetnie się w tym odnajdywali.

Największą uwagę, i pewnie nie tylko moją, zwróciła postać Rysia. Postać ta często korzystała ze znanych tekstów, które pojawiają się w polskich kabaretach oraz miała swoją „manierę”, która mnie

osobiście drażniła. Nie wiedziałem do końca, czy jest to zagrane, czy, być może, Jakub Waprzko w rzeczywistości się tak zachowuje. Swoją grą skradł on cały spektakl. Pozostałe osoby nie wyróżniał się niczym specjalnym, oprócz Zielarki i antagonisty Pajaka.

Podobało mi się to, że pojawiły się elementy taneczne, jak i śpiewane. Choć przyczepię się trochę do ruchu scenicznego, który mógł być lepiej wykonany. Szczególnie przy scenach „wichury”, kiedy bohaterowie trafiali do dziupli, lub z niej wylatywali.

Jakub Lisiak

Ocena recenzenta: 3,5/5

Ocena widzów: 3,5/5

"Serenada, czyli Mistrzostwa Polski w ping-ponga"

Teatr LUNA z Zelowa postanowił wziąć na warsztat dramat Sławomira Mrożka pod tytułem „Serenada”. Z jakim efektem zapytacie? Cóż, z efektem mizernym. Wszelkie próby mierzenia się z twórczością Mrożka są dość karkołomne. Szczególnie w teatrze amatorskim. Często twórcy wychodzą z założenia, że to tak zwane „samograje”, jednak rzeczywistość jest dalece inna...

Rzecz się dzieje w pewnym kurniku w bliżej nieokreślonym czasie i przestrzeni. Żyją tam Kogut i trzy Kwoki. Dodatkowo pojawia się tam Lis. Celem stwarzania pozorów Lis jest farbowany i z gitarą. Lis swym lisim zwyczajem ma na pieńku z Kogutem a dodatkowo coś knuje. Stara się uwieść pewną powabną kwokę celem zwabienia jej do swej nory i... zjedzenia. Jednak ta postanawia przypudrować nosek, znaczy dziób. Natenczas pojawia się inna Kwoka, druga aktualna żona koguta, którą fascynuje Freud i dodatkowo postanawia uwieść Lisa. Wszak czego miałoby jej brakować? Jest kwoką atrakcyjną, budzącą zainteresowanie.

Tyle z fabuły, przejdźmy do „Części Właściwej, czyli samego spektaklu”. Niestety tutaj pojawiają się problemy natury reżyserskiej i aktorskiej. Gdzie szukać winy? Pewnie u reżysera, bo to on bierze odpowiedzialność za aktorów. Strasznie nie lubię kiedy aktorzy snują się bez celu po scenie, jednak w tym przypadku oni się nie snują nawet. Zwyczajnie stoją. Widz ma wrażenie jakby aktorzy przez większość czasu byli przywiązani do konkretnych miejsc na scenie, z zakazem przemieszczania się. W efekcie całość jest nazbyt statyczna, brakuje wypełnienia scen ruchem i życiem, a kolejne repliki są podawane w sposób nienaturalny. Oszem czasami Lis zbliża się do swych potencjalnych ofiar jednak jest to przesycone niesamowitą sztucznością. Kolejnym mankamentem był sam początek, kiedy to aktorzy pojawili się na dyskretny znak, wykrzyczany z publiczności: Zapraszamy aktorów do „Serenady!”.

Lis był momentami intrygujący, jednak w całości był zwyczajnie sztampowy i nudny, przerysowany. Podobnie jak Kogut, sterczący w swej „Pozycji Podstawowej” z rękoma na kieszeniach. Całość w pewien sposób próbują ratować aktorki grające role Kwok. Są one ciekawe i dodatkowo zachowują koncentrację i uwagę przez większość spektaklu. Dodatkowo mają pewną dozę pozytywnego szaleństwa w swych fryzurach, pasującego do całego absurdu sytuacji.

Reasumując podstawowym problemem jest próba podejścia do Mrożka w skali 1:1, „to nie może się udać, to się kończy źle” i skończyło się źle. Skończyło się nudą i zwyczajnie słabym spektaklem.

Cytat pochodzi z piosenki Cool Kids Of Death pt: „Generacja nic”

Remigiusz Pilarczyk

Ocena recenzenta: 2/5

Ocena widzów: 3,5/5

"Made in China"

Pierwszy z dzisiejszych spektakli made in Zduńska Wola zwariował na punkcie "Baśni 1001 nocy". "Szeherezada" czyli historie, których nie opowiesz dziecku na dobranoc obfitowały w nagłe zwroty akcji, zamierzone/niezamierzone puszczanie oka do widzów i igranie z konwencją czwartej ściany. Dorzucmy do tego smoki, Queenów, Kazachstan, wycieraczki, kamienie... No dobra - pogubiłem się.

Naprawdę ciężko mi było nadążyć za taką mnogością tematów i ostatecznie ze spektaklu wyniosłem przesłanie że Show must go on, ale jak do tego doszłście - ni hu hu, cytując smoka smok, nie wiem. Być może na moją niekorzyść działa dodatkowo uczulenie na absurd, dlatego nie będę sugerował ograniczania seksu z buddyjskim mnichem do minimum. Ale na swoją obronę powiem, że baśnie bardzo lubię i lubię oglądać je w teatrze, zwłaszcza w tych spaczonych wersjach. Tym bardziej zastanawia mnie co poszło nie tak.

Wiem, że widz powinien nadążyć, bo takie jest nasze zadanie, ale być może delikatne ściszenie tempa, zwłaszcza w pierwszej części spektaklu, dałoby nam czas na zrozumienie z jak zwariowaną baśnią będziemy mieli do czynienia. A wariactw było sporo. Do moich ulubionych należy opowieść o kamieniu. Zazdroszczę Wam tej sceny, która idealnie połączyła humor z zabiegiem wszechobecnego narratora. W tej części spektaklu jeszcze nadążałem. Później, ilość twistów i teatralnych "myków" (narratorzy, aktorzy wśród widzów, komentowanie spektaklu etc) zbiła mnie z tropu i przestałem śledzić historię, skupiając się na "mykach" właśnie. A szkoda, bo braki ruchowo-interpretacyjne raziły po oczach. Zdaję sobie sprawę, że zespół jest amatorski, że jest to ich pierwsza premiera itp., itd. Ale wychodząc na scenę przed widzów, dajcie im produkt i Waszym zadaniem jest zadbanie o jego jakość.

Przykład - jeśli na scenę wlatują smoki, to mogą chociaż wyraziście machać skrzydłami. A przynajmniej niech każdy macha tak samo. Wiem, że są made in China, ale... Jeśli tak solidnie opieracie się na tekście, popracujcie nad tym aby nie był monotony. Wiele naprawdę fajnych i zabawnych scen zginęło pod sztucznie podawanym (śpiewanym) monologiem. Niestety dla Was, balansujecie pomiędzy słowem i teatrem ruchu. Wymaga to więc od Was dwa razy większej pracy i staranności. I, niestety dla Was, zrobiliście baśń, a w baśniach operujemy archetypami i każdy z nich zasługuje na wyrazisty pomysł i wykonanie (tak jak np postać Mohela czy Kamienia właśnie). Wtedy moja tępota i spóźniony zapłon w fabularnych meandrach przestanie tak przeszkadzać, bo dostanę rzetelnie zrobiony produkt, a nie made in China.

Pamiętajcie o nas. My bardzo chcemy uczestniczyć w waszych spektaklach i dbanie o czytelność historii i atrakcyjność wykonania opłaci się Wam w dwójnasób. Po pierwsze sami będziecie się lepiej czuli na scenie, po drugie zyskacie wiernych fanów, którzy będą chcieli do Was wracać.

PS Zauważyłem, że upodobaliście sobie salę 221. Osobiście polecam 323. Daje ona większe możliwości świetlne, a widzę w Waszych dzisiejszych spektaklach predyspozycje do świadomego oświetlania sceny (a to na tegorocznym przeglądzie rzadkość). Sala w której zagraliście dzisiejsze spektakle ma pod tym względem bardzo ograniczone możliwości. Polecam do przemyślenia - chętnie Wam pomogę na "czarnej sali".

Piotr Maszorek

Ocena recenzenta: 2/5

Ocena widzów: 3,9/5

"Orszak weselny Kopciuszka"

Po zakończeniu spektaklu postanowiliśmy porozmawiać, a efekty naszej rozmowy zapisać...

R: Czy tylko ja na początku spektaklu myślałem, że Kopciuszek jest zmultiplikowany?

K: Nie, ja również miałem takie wrażenie, jednak koncepcja okazała się inna. Kim więc dla ciebie była reszta dziewczyn?

R: Bardzo dobre pytanie. Przypuszczalnie były zmultiplikowanymi siostrami? W zależności od momentu pełniły one różne role. Raz były niczym złe siostry, kiedy indziej były Szarym Dworem. Jednak wszyscy przecież znają historię Kopciuszka. I tutaj nie pojawiło się nic nowego. No było jak zawsze w tej historii. Ciężko znaleźć tutaj coś nowego. Chyba, że by dodać smoka, ale to może być nazbyt kontrowersyjne. A co z ruchem? Wszak na tym opiera się spektakl.

K: Owszem, spektakl oparty jest na ruchu i cieszę się że na taka formę zdecydowali się twórcy.

Szukali bowiem wielu ciekawych rozwiązań jak chociażby przymierzenie pantofelka.

W nawiązaniu do reszty dziewczyn, ja jednak nie miałem poczucia, że w tym tłumie są złe siostry Kopciuszka, raczej traktowałem je jako osoby podobnego pokroju i kandydatki na potencjalną żonę księcia. Czy nie uważasz, że kostiumy oddawały ich indywidualne cechy?

R: Myślę, że raczej zmierzało to ku uniformizacji i w kierunku uniwersalizmu. Każdy, poza rzeczonym Kopciuszkiem, był jednocześnie jedną z sióstr jak i Damą Dworu. Wszyscy znają historię Kopciuszka, toteż nie będzie to wielkim spojlerem, jeżeli powiem, że na końcu wychodzi za męża. Co myślisz o końcowych scenach? Poszukiwania Kopciuszka i samego wesela?

K: Wesele Kopciuszka faktycznie było czymś fascynującym i zaskakującym, bo o ile dobrze pamiętam o weselu nie było wspomniane zbyt dużo w książce, to jednak Teatr „Mała Trzynastka” stanął na wysokości zadania i zrobił piękną scenę, kiedy to Kopciuszek do ślubu idzie z welonem stworzonym z koszul pozostałych dziewczyn, które tworzyły cały orszak.

I to są takie happy endy, które lubię.

rozmawiali

Remigiusz Pilarczyk oraz Kamil Bończyk

Ocena recenzentów: 3/5

Ocena widzów: 3,9/5

„Siostra”

Drugi spektakl wystawiany tego dnia przez Teatr LUNA z Zelowa nosi tytuł „Siostry”. Przedstawienie traktuje o relacji rodzeństwa – Ewy i Alicji – które starają poradzić sobie w powojennym świecie bez matki i ojca, mając tylko siebie i tylko w sobie odnajdując oparcie. Jednak przeszłość nie daje o sobie zapomnieć, nie ma od niej ucieczki, a wszystko zmierza ku nieuchronnej katastrofie.

W inscenizacji Teatru LUNA mieliśmy do czynienia ze wszystkim – z potężnym światem wyobraźni, z patologiczną rodziną, z problemami rodzinnymi, sercowymi, wewnętrznymi. W zasadzie nie było płaszczyzny, o którą autorzy przynajmniej nie zawadzili. Wielość tematów przytłaczała widza (a na pewno mnie), ponieważ aktorzy nie pozostawili miejsca na wzięcie oddechu, na chwilę refleksji, zapamiętania. Pędzili od zadania do zadania, momentami wręcz mechanicznie, traktując emocje z pewnym lekceważeniem. Oczywiście, nie robiąc tego z premedytacją; to raczej kwestia braku namysłu nad podejmowanymi w spektaklu kwestiami.

Centrum przedstawionego świata jest Ewa, starsza z sióstr, (w tej roli Katarzyna Pietrzak, obdarzona sporym talentem młoda aktorka). Wokół niej kręci się fabuła, to ona i jej konstytucja

wewnętrzna stanowią o następstwie zdarzeń. Młodsza z siostr, Alicja (w kreacji Eweliny Niciak), opowiada o swojej relacji z tą, która w zasadzie ją wychowywała i opiekowała się nią: dzięki niej jest taka, jaka jest. Późniejszy epizod Dawida, chłopaka Ewy, dopełnia obrazu dziewczyny. Poznajemy różne etapy z jej życia, od najmłodszych lat (relacje z matką), aż po samobójczą śmierć.

Katarzyna Pietrzak miała do wykonania niesłychanie trudne zadanie, z którym poradziła sobie dzielnie. Jednak nie sposób było uniknąć błędów. Zabrakło autentycznej zabawy ze światem wyobraźni, radości, zwykłej młodszej frajdy oraz wyraźniejszego zaznaczenia różnicy pomiędzy Ewą, którą znała Alicja, a Ewą, dziewczyną Dawida. Sami aktorzy w dialogach mieli zaś problem z słuchaniem siebie wzajemnie, przepowiadając i „przelatując” kwestie. Zrzucam to na karb wspomnianej wcześniej zadaniowości (realizowania założeń reżyserskich od punktu do punktu, od miejsca do miejsca, etc.), która wpędziła aktorów w mechaniczność, nie pozostawiając pola do rozwinięcia skrzydeł, a przede wszystkim zsunęła emocje na dalszy plan.

Z pewną obojętnością potraktowane zostały rekwizyty (było ich niewiele: gazeta, książka, pluszowy miś, ramka ze zdjęciem, krzesło). Kiedy mamy do czynienia z tak minimalistyczną formą, narzuca się, aby to, co pokazane, wykorzystać w najpełniejszy sposób; innymi słowy: ograć, nie zaś akcentować obecność. Minimalizm w formie w sposób błyskawiczny obudowuje w głowie widza świat, do którego ostatecznie nie dostajemy zaproszenia. Istnieje, jakby to powiedzieć, na uboczu.

Na koniec chciałbym zacytować autorów. Na pytanie „dlaczego zajmujecie się teatrem?” odpowiedzieli oni prosto i szczerze: „bo lubimy...”. W tej wypowiedzi (podobnie jak w samym spektaklu) wyraźnie ta sympatia do teatru wybrzmiewa. Nie będę więc poświęcał zbytnej uwagi chaotycznemu, nieprzemyślanemu ruchowi scenicznemu czy jednorakiemu światłu. Dla mnie ważne jest, iż tę chęć, szczerłość i odwagę tworzenia było widać. Mocno kibicuję młodej grupie, która ma potencjał. Obyście mieli chęć rozwijać swoją teatralną świadomość.

Nikodem Księżak

Ocena widzów: 4,5/5

Ocena recenzenta: 2,5/5

„Bez słów”

Niewątpliwie robiącym wrażenie był spektakl teatru „Trzcina” pt. „Poza czasem”. Wykonawcy wykazali się bowiem dużą oryginalnością jeżeli chodzi o muzykę (w większej części autorską) oraz próbą wyrażenia całej treści za pomocą ruchu, pantomimy i tańca.

Całość scenograficzna spektaklu bazowała na kreowaniu jej o ludzkie konstrukcje urządzeń tj. łóżko, prysznic, ekspres do kawy i komputer. Wykorzystanie rekwizytu była ograniczona do minimum.

Historia rozpoczynała się od codziennych czynności głównego bohatera (w tej roli Wiktor Węgliński), które w formie repetycji sugerowały rutynę i marazm. Sytuacja zmienia się kiedy bohater ponownie kładzie się spać jednak cały świat nagle ożywa a scena wypełnia się dymem, jako wyraz jego onirycznego przeżycia. Duża ilość dymu oraz słabo rozpalone światła spowodowały że wiele rzeczy na scenie nie było dobrze widocznych a szkoda. Odniosłem wrażenie że była to sfera w której nasz bohater faktycznie ma prawo żyć pełną piersią, doświadczyć czegoś aby wynieść z tego konkretną naukę.

Oczom bohatera pojawiają się inni ludzie podążający do swoich własnych celów, w wyniku czego nasz bohater początkowo czuje się obco i nieswojo. Aktorzy ubrani w szare płaszcze przecinali przestrzeń sceny w różnych kierunkach realizując co jakiś czas prostą sekwencję ruchową opartą na zwrotach ciała w określonych kierunkach. Tu niestety pojawiło się rozczarowanie gdyż ruchowa scena choć podporządkowana muzyce, niestety nie została wykonana synchronicznie, co nieco negatywnie wpłynęło na jej odbiór.

Bohater może spojrzeć na aspekty życia z pewnego dystansu, jest uczestnikiem barowej „posiadówki” sugerującej przestrzeń piekła i rozpusty, spotęgowaną czerwonym światłem i wciąż obecnym dymem. Scena zrobiła na mnie wrażenie ze względu na współdziałanie z muzyką (co było widoczne chociażby w ciekawej etiudzie gry w karty) oraz zakomponowania wszelkich działań jakie odbywały się w ramach całej sceny. Następnym przystankiem w sennym świecie bohatera jest niebo, gdzie mamy do czynienia z taneczną solówką anioła stróża i zmieniającym się kolorem światła. Całość jej jednak ograniczyła się do wykonania krótkiego pokazu kilku ruchów i skoków i niestety nie potęgowała emocjonalnego odczuwania tej sceny, który w moim przekonaniu był tutaj konieczny, a po niej pozostał tylko niedosyt, ponieważ potencjał aktora nie został wykorzystany.

Sceny oniryczne choć dość stereotypowe całkowicie do mnie przemawiały, ze względu na paradygmat jaki realizuje się w momencie śnienia każdego z nas. Jest on bowiem odwzorowaniem pragnień jakie posiada bohater i jest to dla mnie całkowicie zrozumiałe.

Po całym śnie główna postać funkcjonuje w tym samym codziennym systemie jak na początku przedstawienia (co tworzy pewną kłamrę spektaklową), jednak zmienia się jego nastawienie, co dowodzi sensowności wydarzeń sennych. W bohaterze dokonuje się przemiana, która niewątpliwie pozwala widzowi bardziej utożsamić się z nim. Ja czułem jawną satysfakcję z jego zmiany mając przemyślenia nad własnym życiem.

Spektakl posiadał bardzo jasną wypowiedź a środki do jego zrealizowania były bardzo proste. Z przyjemnością odbierałem jawny komunikat płynący ze sceny, podziwiałem nietuzinkowość przekazu jednak miałem poczucie, że nie było w tym głębi a całość przewodniej myśli spektaklu lawirowała na dość powierzchownym poziomie jego znaczenia.

Kamil Bończyk

Ocena recenzenta 4,0/5

Ocena widza 4,8/5

„

Przypadł mi zaszczyt napisania recenzji do drugiego monodramu wystawianego na Łópcie. Nie będę powtarzał swoich opinii zawartych w poprzednim tekście (odsyłam za to do niego), postaram się od razu rozwinąć spojrzenie, które w nim zawarłem.

Spektakl pt. „Wielki Piątek, czyli kobieta demon” w wykonaniu Klaudii Kościstej z TEATRU „TRZCINA” porównałbym do wspinaczki górskiej wykonywanej z bardzo dużą prędkością. Poniekąd tak szybkie tempo wymuszone jest przez krótką, 15-minutową formułę przedstawienia. Jednak i w takim tekście (jak w każdym zresztą) potrzebne są chwile wytchnienia, których tutaj brakuje. Aktorka od początku zaprasza nas do swojego świata: wchodząc na salę widzimy ją nachylającą się nad metalową balią z wodą i obierającą ziemniaki. Czynność wykonuje z taką intensywnością, że jeszcze zanim widz zdąży zasiąść wygodnie w fotelu, już wie, czego się spodziewać. To sprawia, iż rzecz staje się przewidywalna, niezachęcająca do zaangażowania. Pozostaje tylko odliczać sekundy do zbliżającej się eksplozji. I faktycznie: w słowie, w geście, w emocjach bohaterka jest nadekspresywna, odpychająca. Zraża do siebie, nie daje pola do tego, aby jej współczuć. Momentami staje się agresywna, a poprzez techniczne błędy wydaje się, iż agresja skierowana jest w stronę widzów. A raczej nie takie było zamierzenie.

W pewnym momencie aktorka wrzuca do naczynia pełnego wody ubrania, którymi za chwilę - rzecz jasna, totalnie przemoczonymi - zaczyna wymachiwać przed oczami widzów, ochlapując pierwsze, drugie, a nawet trzecie rzędy. Być może tę uwagę można odebrać jako tradycyjne „czepialstwo”, jednak musimy pamiętać, że aktor z widzami podpisuje pewną umowę, zgodę na konwencję, na pewne nieprzekraczalne granice, dzięki którym stworzyć mogą relację, wspólnie wejść w temat. Widz nie lubi, aby na nim eksperymentować (chyba że się na to wcześniej zgodzi, zostanie o tym uprzedzony). Gdy dochodzi do takich sytuacji (połączonych w dodatku ze wspomnianą wcześniej agresją) wyłącza się, przestaje się interesować opowiadaną historią i - co najgorsze - bohaterem, którego chce nam przedstawić aktor. Nie mówiąc już o tym, że zdarzenie, które miało miejsce, ociera się ze wspomnianych wyżej powodów o brak szacunku aktora do widza, brak szacunku do partnera.

Osobiście zupełnie wyłączyłem się z tematu, przez który byłem przeprowadzany - nadwyżka impulsywności, agresji oraz niedbałości o komfort wyrzuciła mnie z opowiadanej przez bohaterkę historii. Miałem przed sobą aktorkę niechęć zawiązać relacji ze mną, widzem; w dodatku w sposób bezpośredni tę niechęć wyrażającą. Jakże różne to było od poprzedniego monodramu - delikatnego, subtelnego i pokornego.

Nikodem Książek

Ocena widzów: 4,5/5

Ocena recenzenta: 2,5/5

"Każda potwora znajdzie swego amatora"

Myślicie, że bajki są tylko dla dzieci? A co z dorosłymi? Czy oni nie mają prawa do bajek? Mają, jak najbardziej mają. I z tego samego założenia wychodzą twórcy spektaklu „I żyli długo i szczęśliwie?”. Postanowili wziąć na warsztat tekst Władysława Sikory pod tym samym tytułem. Jeżeli kojarzycie kabaret Hrabi, to już wiecie jakiej estetyki i jakiego typu poczucia humoru należy się spodziewać. I słusznie, bo twórcy spektaklu chętnie do niej nawiązują i robią to w ciekawy sposób. Oczywiście uzupełniają ją własnymi pomysłami i poczuciem estetyki, dodają swoje własne „smaczki”.

„I żyli długo i szczęśliwie?” jest jubileuszową, czterdziestą premierą Grupy Teatralnej „od jutra”. Jak wszyscy wiemy jubileusze rzecz ważna i należy je właściwie świętować. Twórcy spektaklu wyszli z podobnego założenia, dzięki czemu widzowie otrzymali godzinę sprawnej pracy scenicznej, dobrych żartów i śmiechu. Wszak dobry scenariusz to podstawa, jednak nie wszystko. Trzeba jeszcze wyjść na scenę i go zagrać.

W pewnej baśniowej krainie, w której grasuje smok straszny, księżniczka straszna (ta akurat w sensie urody i charakteru) i Królowa chcąc się jej pozbyć, najlepiej drogą zamążpójścia, co zresztą jest ambicją tej pierwszej, pojawia się Książę wraz ze swym Giermkim. Książę mimo, że porusza się konno, to jest księciem XXI wieku. Jest szczęśliwym posiadaczem telefonu komórkowego a zdjęcia księżniczki sprawdza prawdopodobnie na Facebooku. Niestety wspomniana księżniczka nie jest szczytem marzeń każdego mężczyzny. W zasadzie to jest dość nisko na liście marzeń jakiegokolwiek mężczyzny. Dobrze, nie oszukujmy się jest na szczycie koszmarów wszystkich mężczyzn. Toteż książę jedzie do zamku jedynie z poczucia obowiązku i nadzieją na bycie odrzuconym. Pech jednak chciał iż jest on obdarzony urodą co niweluje jego szanse na rzeczony odrzucenie. Jednak jest on nie w ciemną bitą i wpada na genialny plan. Postanawia zamienić się rolami ze swym giermkim, wszak jak mawia ten drugi: 'Nie szata szpeci człowieka, brzydkim trzeba być!'. Aby historia była kompletna potrzebujemy jeszcze pięknej służącej i namolnego sekretarza. Dzięki temu mamy już kompletny zestaw bohaterów.

Celem Księżniczki jest zamążpójście za kogokolwiek, sekretarz kocha Marysię piękną służącą a królowa chce mieć spokój. Jednak w efekcie wizyty wspomnianego wcześniej duetu (księcia podającego się za Giermka i Giermka podającego się za Księcia) następuje roszada relacji... I teraz: sekretarz nadal kocha Marysię, jednak ona nie odwzajemnia jego miłości (teraz jeszcze bardziej) Księżniczka zakochuje się w Giermku-Księciu, Książę-Giermek zakochuje się w Marysi (jednak jest nadal „lekką” nieśmiałą) a Marysia ma mieszane odczucia do momentu aż się dowiaduje, że Książę-Giermek jest Księciem-Księciem. Wzbożona o tę wiedzę jest już jednak przekonana, że to trafny wybór. Nie oszukujmy się, piękni książęta są towarem deficytowym i popularnym wśród kobiet. Ostatnim faktem jest to, że Książę nadal ma nadzieję na to, że Marysia okaże się księżniczką przebraną za Marysię. Niestety Marysia to Marysia. Jej ojciec był Marysią i jej dziadek też był Marysią. Jednak książę jest w stanie zaakceptować taki stan rzeczy. Ten cały galimatias prowadzi do wielu zabawnych konfrontacji i sytuacji.

Każda bajka grana na scenie winna mieć odpowiednią „bajkową” scenografię, nawet jeżeli jest bajką dla dorosłych. O to zadbała Karolina Łabęcka. Ręczona scenografia nasuwa skojarzenia ze spektaklami znanymi z gali szkolnych. Oczywiście jest to efekt zamierzony i świetnie wpasowuje się w konwencję spektaklu. Właśnie, konwencja! Jak już wcześniej wspomniałem, potencjalny widz nie powinien spodziewać się teatru naturalistycznego czy „żyłowania” w stylu brutalistów współczesnych. Całość ma być lekka i przyjemna. I taka właśnie jest. Całość jest zagrana bardzo sprawnie, aktorzy bardzo dobrze się odnajdują w tej konwencji. Dodatkowo wykazują się dużą uwagą i dyscypliną.

Całość jest uzupełniana przez „szlagiery” śpiewane przez aktorów. Jednak to nie są byle jakie „szlagiery”! Możemy usłyszeć piosenki Shazzy, Natalii Borys, Kasi Klich a także zespołów Weekend i Bayer Full. Jednak nie otrzymujemy nudnego playback show. Utwory zostały przearanżowane przez Michała Chojackiego.

Jednak zawsze można znaleźć pewne niedociągnięcia i braki. Podobnie jest w tym przypadku. Owszem piosenki są świetnie zaaranżowane i wykonane, jednak od pewnego momentu sprawiają, że rytm spektaklu staje się strasznie przewidywalny. I to pomimo obranej konwencji kabaretowej. Zwyczajnie piosenki pojawiają się zbyt często. Można mieć też zastrzeżenia do samego finału, który jest do bólu przewidywalny, pomimo pozornego twistu fabularnego.

I na koniec: nie warto być giermkim. Oni zawsze wychodzą najgorzej.

Remigiusz Pilarczyk

Ocena recenzenta: 4/5

Ocena widzów: 4,8/5

„Szukajcie a znajdziecie”

Jednym z trzech spektakli ze Zduńskiej Woli Teatru FUNDAMENTUM był „Kolorowy chleb/ Niewidzialne lustro, w którym jak piszą twórcy, przedstawiają historię „dziewczynki i chłopca, którzy znajdując klucz poszukują pasującego do niego lustra...” Lecz czy aby na pewno?

Zaczynamy spektakl od dwójki bohaterów-dzieci w kostiumach, które ewidentnie mają zasugerować widzowi ich małość: chłopiec ubrany w koszulkę polo i krótkie spodenki na szelkach, oraz dziewczynka w zwiewnej sukience z kucykami przewiązanymi czerwoną wstążką. To oni byli protagonistami przedstawienia jednak jak później się okazuje nie usiłują odwzorować dziecięcej

naiwności i sposobu postrzegania świata, a raczej w dość infantylny sposób odgrywają małe dzieci.

Chłopiec poszukuje swoich „zabawkowych” żołnierzyków i od tego zaczyna się całość ciągu fabularnego, który ma doprowadzić nas do odnalezienia niewidzialnego lustra. Aby znaleźć żołnierzyki dzieci poznają najróżniejsze historie, w pierwszej kolejności poznają dzbanuszek do kawy, który wygląda bardzo ciekawie: głowa aktora, która wystaje nad białymi zastawkami ustawionymi w centrum sceny oraz rękami partnerów zespołu, które współdziałają z wypowiedziami dzbanuszka odpowiednio gestykując.

I to co dzieje się dalej jest całkowitym nieuporządkowaniem, wobec którego czułem się bezsilny. Aktorzy mają szukać żołnierzyków, ale na skutek pocztówek dowiadują się, że ich podróżująca kuzynka Róża poszukuje owego niewidzialnego lustra, na skutek tego sami stają się zafascynowani owym przedmiotem. Kuzynka przesyła pocztówki do dziewczynki, która prosi widzów o jej odczytanie. Po co? Jako widz myślałem że dzieci jeszcze nie potrafią czytać, jednak jeden z ostatnich listów dzieci czytają same.

W międzyczasie poznają opowieści, które nie do końca wiem co wnoszą do kwestii poszukiwania lustra, ale być może to był celowy zabieg. Najróżniejsze historie o których wspomniałem postaci poznają na skutek retrospektyw gdzie jeden aktor/aktorka opowiada ją natomiast reszta w tautologiczny sposób ją odgrywa.

Nagle okazuje się, że klucz (srebrny grzebień) chłopiec otrzymuje w spadku, a raczej w ramach tradycji, w której klucz przekazywany jest z pokolenia na pokolenie, problem tylko polega na tym że dzieci nic nie zrobiły a wszystko dzieje się samoistnie, nagle aktorka wychodzi i mówi że klucz należy do chłopca. Po czym wszyscy zaskoczeni i kolejna dawka opowiadań, które niewiele wnoszą. Nagle dziewczynka przypomina sobie, że jest w posiadaniu owego lustra, jedynie potrzebuje klucza, który jak już wiemy ma chłopiec. I nareszcie następuje rozwiązanie zagadki, zwierciadłem jest wspomniany wcześniej biały parawan. Dzieci obracają go będąc ciekawi jaka będzie przyszłość i ustawiają go zwierciadłem w stronę widowni.

Nie jestem w stanie powiedzieć czy było to szukanie żołnierzyków, klucza czy może lustra, jednak wydaje mi się że koniecznym jest tutaj usystematyzowanie reżyserskiej wizji, bo choć całość zagrana z całkowitym zaangażowaniem aktorów pozostawia widza w nastroju całkowitej bierności, z racji braków konstrukcji dramatycznej przedstawienia.

Kamil Bończyk

Ocena recenzenta: 2,0/5

Ocena widza: 3,8/5

"Powrót do przeszłości"

Drugi dzień Łóptowski zakończył się mocnymi ciosami we wrażliwość widzów. Po bajkowym przed i popołudniu nadszedł wieczór i spektakl Teatru TAK!. Z zaczarowanego lasu, baśni 1001 nocy i królestwa smoków, zespół Eweliny Wyrzykowskiej błyskawicznie przeniósł nas do Czarnobyla. Szok dla widzów ogromny, co w połączeniu z syndromem "jedenastu spektakli później" wywołało lawinę negatywnych opinii wśród młodzieżowej części publiczności.

Fabulę spektaklu utkano z historii tych, co przetrwali katastrofę. Tych, którzy do końca wierzyli w swój kraj i których świat i światopogląd z dnia na dzień rozleciał się w okruchy. To co zostało, to choroby, śmierć i wygnanie z domów, które były historią ich życia, dojrzenia-kochania-umierania. Stali się wyklętymi, ludźmi poza społecznością, trędowatymi. Jak twórcy sami to ujęli, katastroficzny dramat. Warto jednak nadmienić, że bez uciekania się w ckliwość czy tanią sensację. Całość utrzymana jest bardziej w konwencji obrzędu religijnego, niż Sprawy dla reportera. Emocje, które mogły być wyrzeszczane, wyrzygane, wytarzane i wtarte widzowi w twarz, pulsowały gdzieś pod skórą. Jedyny upust znajdowały w tradycyjnych pieśniach ludowych, a i tam nigdy nie wykroczyły poza poziom modlitwy, cichego błagania bądź wewnętrznego płaczu.

Także forma spektaklu pozostała oczyszczona ze wszystkich bajerów. Minimalne oświetlenie aktorów; świetne kostiumy, które mnie osobiście kojarzyły się z wizją przyszłości (ale tej, widzianej w latach 80'tych właśnie) oraz jedyny rekwizyt w postaci folii - wszystko to utrzymane w czystej, białej tonacji. Było to spójne, konsekwentne i przemyślane. Nawet poczułem ulgę widząc salę kolumnową tak pustą (zwłaszcza po tych wszystkich zamkach, królestwach i zaczarowanych lasach). Zwłaszcza, że twórcy zadbali o to, aby wchodząc na salę widz natychmiast się wyciszył - kolejne nawiązanie do rytualnego obrzędu. Przyjemna odmiana. Ulga jednak szybko minęła.

Przyznam się - nie byłem gotowy na taki temat. Przez pierwsze kilkanaście minut spektaklu próbowałem zrozumieć, dlaczego zespół z Piły wrócił do tych wydarzeń. Co skłoniło ich do wypowiedzi na temat, który dla wielu ludzi (w tym także dla mnie) jest straszną historią opowiadaną przez rodziców (a i oni także nie wydawali się być nią specjalnie dotknięci). Dzisiejszy świat ma aż nadto nowych problemów, tematów z którymi musimy się mierzyć i które atakują nas każdego dnia z każdego ekranu. Tym bardziej, że forma spektaklu cofa nas w sferę rytuału, tego wewnętrznego. Nie zostaliśmy w niego wciągnięci (uwaga - wtręt techniczny), gdyż wszystkim elementom rytualnym brakowało precyzji, mocnego wykończenia, którego rytm udzieliłby się widzom. Pozostaliśmy biernymi obserwatorami cichego dramatu, w czasach gdy każdy dramat dąży do zaangażowania nas i przeżywania go osobiście. O godzinie 20 czas zatrzymał się w sali kolumnowej, a Teatralny Atak Kulturalny pokazał nam wrywek przeszłości.

Czy publiczność, zwłaszcza w wieku <25 mogła być zdezorientowana czymś tak nietypowym? Oczywiście, że tak. Czy mogli się "wyłączyć", stać obok tego nie rozumiejąc "po co"? Tak. Czy był to czas stracony? Absolutnie nie.

Widzicie, nie był to spektakl, który chciałem zobaczyć. Nie był to temat, o którym chciałem słuchać i

nie była to forma w której chciałem go oglądać. Ale... Spośród wszystkich tematów poruszonych do tej pory na tegorocznej Łópcie, ten był, jak się okazało, najważniejszy. Ten moment zatrzymania i spojrzenia wstecz, bez nachalnego moralizowania i trywializowania odbiorcy, poruszył mnie najbardziej.

Potrzebuję czegoś więcej? Potrzebuję powodów do tego? Nie. I przestaję szukać.

Piotr Maszorek

Ocena recenzenta: 4/5

Ocena widzów: 3,4/5

„Tik... tak?”

Teatr Face To Face z Powiatowego Centrum Kultury i Rekreacji w Zduńskiej Woli, zaprezentował sztukę, która, zawierając elementy kabalistyczne, opowiada o poszukiwaniu duszy. Aktorzy zawierają pewien „pocałunkowy pakt” chcąc dowieść świata niematerialnego.

„Teatr to nasza pasja, odskocznia od szarej rzeczywistości, możliwość własnego wypowiedzenia się, integracja ludzi myślących inaczej”. Z ostatnią część wypowiedzi zgadzam się w stu procentach. „Ludzie myślący inaczej”. Jeżeli mam być szczery, to nie mam pojęcia o czym był ten spektakl. I sądząc po opiniach osób podczas omówień, chyba nie tylko ja miałem z nim problem. Nie czytałem tekstu Milorada Pavića, jednak adaptacja reżysera Zbyszka Rudeckiego nie przemówiła do mnie w żaden sposób. Nie wiem jakie fragmenty zostały wyrzucone ze spektaklu, ale biorąc pod uwagę to co zobaczyłem, to chyba zostawił te najgorsze. Aktorzy chyba nie do końca wiedzieli o czym mówili, przez co i widz mógł czuć się nieco zagubiony.

Sam tekst to filozoficzno-religijno-seksualny bełkot. I tyle w temacie. Nie wiem jak miał wpłynąć na widzów i co autor chciał nim osiągnąć.

Podczas spektaklu dało się słyszeć śmiech z widowni. Przyznaję się - jestem jedną z tych osób. Jednak nie zaliczałbym tego do pozytywnych aspektów. Był to śmiech zażenowania z gry aktorów, tym co robili i co prezentowali. Były momenty w których sami się gubili i nie wiedzieli, co po czym następuje. W ogóle nie zwracali uwagi na kolegów i nie słuchali, tylko słyszeli ich kwestie, aby wiedzieć kiedy powiedzieć swoje. Choć i to nie zawsze im wychodziło.

Szkoda, że reżyser nie potrafi przyjąć krytyki, ponieważ podczas omówień wyszedł z sali, kiedy usłyszał, że „Drugie ciało”, jest spektaklem na bardzo niskim poziomie. Moim zdaniem powinien wysłuchać wszystkich uwag, zarówno tych od jury, jak i innych osób. A w szczególności od swoich

aktorów, którzy sami powinni zaproponować tekst nad którym chcieliby pracować. Tekst łatwy w odbiorze, a przede wszystkim prosty i czytelny dla samych twórców.

Od początku pisania recenzji zastanawiałem się nad jakąkolwiek pozytywną rzeczą, która mogła wydarzyć się w spektaklu, jednak nic nie przyszło mi do głowy. I jest mi z tego powodu bardzo przykro. Mam nadzieję, że teatr Face To Face wyciągnie jakieś wnioski z tegorocznego Przeglądu i w przyszłym roku zaprezentują nam coś na wyższym poziomie.

Jakub Lisiak

Ocena recenzenta: 1/5

Ocena widzów: 3,3/5